

Andrzej Mikołowski

Epopeja o kołtunach

Nagroda Nobla ma przedziwną własność petryfikowania i mumifikowania pisarzy, którzy nią zostali zaszczytzeni. Jest huk koło jakiegoś reformatora i rewolucjonisty, jedni go atakują, drudzy go czczą i ochraniają, jest na ustach wszystkich. Nagle trach! I oto bohater wdziewa togę laureata, wchodzi na koturny i przestaje interesować ogół; jeszcze jeden nieśmiertelny. Wielu już tak skończyło: Bernard Shaw, któremu nic nie pomogło nawet nieprzyjęcie nagrody i którego błazeńskie kazania jeszcze tylko w Polsce (no i może na Bałkanach) znajdują słuchaczy, a nawet wyznawców; Maeterlinck i Romain Rolland, niedługo bojownicy, a dziś już tylko ciężkie działa, wywlekane tylko w nadzwyczajnych okazjach przez pacyfistów i humanitarystów poto tylko, żeby się przekonać, że nikt już z nich nie wystrzeżeli; Kipling, schowany do muzeum zabytków wiktoriańskich, od czasu do czasu odkurzany i trzymany w rewerencji, ale już nieczyanny; Hamsun; a nawet i Reymont, o którym jeżeli się słyszy, to tylko tyle, że „Chłopów” przetłumaczono na język tybetański, czy baszkirski. Biedny Pirandello, co za perspektywa!

Coprawda trzeba powiedzieć, że Nobla dostawali zwykle wysłużeni emeryci, którzy i tak już przestawali pisać. Jednakże owa zdolność produkowania żywych trupów dotknęła siłą analogii także i młodych, nienadających się do balsamowania. Do takich należy Sinclair Lewis, który przed paru laty z takim hukiem wstąpił do noblowskiej Walhalli, wygłaszając mowę kandydacką, która takim wzburzeniem przejęła jego rodaków. Miał już nawet wyjeżdżać na stałe z ojczyzny Barbarji i osiedlić się w Europie, ale jakoś to nie doszło do skutku. Napisał jedną słabszą powieść „Ann Vickers”, przez wszystkich omówioną, jak się należy dziełu laureata, nasz półliteracki światek, czy literacki półświatek odkrył nagle, że jest w Ameryce pisarz nazwiskiem Sinclair Lewis, „Renaissance” zakupił prawo przekładu wszystkich powieści i rzucił się do dzieła, angażując legion tłumaczy.

Ale „prawo Nobla” zaczęło działać nieubłagane. Sinclair Lewis jak stał, tak umarł jako przedmiot zainteresowania. Biedny Erdtracht, czy kto tam teraz jest nieodpowiedzialny za ów „Renaissance”, czepia się wszelkich możliwych, a raczej tych niemożliwych sposobów i sposobów, żeby ludzi nabrać na kupienie tego żywego towaru. „Martin Arrowsmith” został skrócony o głowę, bo był za duży. Nietrudno się nawet nad sfabrykowaniem t. zw. skrótu dla młodzieży. Ot prosto przetłumaczono połowę, a resztę pozostawiono domysłom czytelników. Oczywiście nie kwapiono się zaznaczyć, że to nie wszystko i że jednak Sinclair Lewis napisał dalszy ciąg. „Main Street” wydano w dwóch tomach pod różnymi tytułami. Pierwszy tom nazywa się „Ulica Główna”, jak w oryginale, ale urywa się nagle w dowolnym miejscu, tak jak i poprzednio wspomniany „Martin Arrowsmith”. Czytelnik niepokoi się: to nie może być koniec; wraca do początku: może to tylko tom pierwszy. Strona tytułowa jednak milczy jak zakłeta. Wracam więc znowu do końca: może brak kartek? Ale nie: druga połowa ostatniej strony jest czysta. Dopiero kompetentni informują nas: dalszy ciąg wyszedł pod niewiadomego pochodzenia tytułem: „Zwycięstwo cywilizacji”. I znowu ani mrucho o tem, że to drugi tom „Ulicy Głównej”. Dopiero na odwołanie strony tytułowej, tam gdzie nikt zwykle nie patrzy, skromny napis: „Ulica główna”. Powieść: Ulica Główna; Powieść II „Zwycięstwo cywilizacji”. Aha — uspokajamy się — prosto chcieli nas nabrać. Nie przestrasza rozmachem powieści, a drugi tom może ktoś kupić, kto nie kupił pierwszego, zaintry-

gowany tytułem. Dla ostatecznego zatarcia śladów pierwszy rozdział drugiego tomu nie ma numeru porządkowego. Dopiero następny, ukryty w gąszczu tekstu jest skolei dwudziesty. Są to wogóle bardzo miłutkie sposobiaki i nastrojają nas nadzwyczaj przychylnie dla wydawnictwa i... autora.

Tu jednakże kończy się słusność gniewu czytelnika. Sinclair Lewis nie zasłużył na takie traktowanie. Nie jest oczywiście nic winien, że mu dano nagrodę Nobla i że stał się przedmiotem rozmaitych kantów wydawniczych.

„Main Street” czyli „Ulica główna”, realistyczna powieść o symbolicznym tytule, jest częścią wielkiego zamierzenia artystycznego Lewisa, aby przedstawić w formie powieściowej całą Amerykę współczesną w jej najbardziej typowych przejawach: „Babbitt”, to obraz przeciętnego miasta przez myślowego, „Martin Arrowsmith” — to stosunek do nauki, „Elmer Gantry” — stosunek do religii, „Dodsworth” — ziszczenie jednego z najżywszych pragnień przeciętnego Amerykanina — podróż do Europy, „Ulica główna”, to rdzeń Ameryki, główna arteria, która dostarcza ciągle nowych businessmanów, gdy starzy bankrutują, nowych sił, nowego, niezdegenerowanego purytanizmu i nowej energii — małe miasteczko.

Jest to drugi stopień amerykańskiej hierarchii społecznej: Pierwszy stanowią farmerzy, w dużym procencie niezasmilowani jeszcze cudzoziemcy, wyżej od miasteczka stoi miasto, potem duże miasto, potem bardzo duże miasto... aż do New-Yorku, Chicago,

owych wielkich młynów, w których miele się ludzi, jak mąkę, a każdy z nich tyle znaczy, co jedno ziarno zboża w tych wago-



Sinclair Lewis

Cywilizacja urbanistyczna wymaga utraty indywidualności. Praca nad tem zaczyna się już od niemowlęctwa społecznego — od małego miasteczka. Wszelkie zapędy reformatorskie, usiłujące wprowadzić życie, twórczość, myśl do tej atmosfery, są tylko daremną szarpaniną. „Bakcył małego miasteczka” toczy reformatora powoli, aż wreszcie gdy ten, rezygnując z reform, chce ocalić już tylko siebie, uciec gdzieś daleko, spostrzega, że jest już za późno; kołtunstwo wchłonęło go zupełnie. Oto problem powieści Sinclaira Lewisa.

Nie w problemie jednak leży jej punkt ciężkości. Lewis jest przede wszystkim obserwatorem, a nie reformatorem i jest mistrzem powieści realistycznej, którą doprowadził do perfekcji. Bystrość obserwacji przy doskonałej zdolności wyboru rysów charakterystycznych daje obraz precyzyjny, a rzadko tylko nużący drobniagowością, która jest plagą pisarzy amerykańskich. Humor sardoniczny, ale życzliwy, nieskomplikowany, bezpośredni i szczerzy zabarwia postaci bohaterów, zaostża ich sylwetki. Postaci te są pyszne w swej prawdziwej psychologicznej, osiągniętej często przez autora drobno, a jakże charakterystycznym pociągnięciem pióra.

Przedewszystkiem jednak zainteresowanie wzbudza sam temat: Ameryka, kraj tak egzotyczny, choć przystrojony nie w żadne burnusy i kimona, ale jak i my w jednakowo skrojone marynarki; kraj tak nieprawdopodobny, choć często dotkliwie dający nam odczuć, że zupełnie prawdziwy; jeszcze przed dziesięciu laty ziemia obiecana, dziś już tylko ob-

jekt mało przeważnie życzliwego zainteresowania. Jeżeli jednak przechowali się jeszcze gdzieś w zakątkach, do których nie dotarły wieści o krachu Ameryki, jej entuzjaści, wystarczą dać im do ręki dzieła Sinclaira Lewisa. Tych kilka powieści, wraz z temi, które jeszcze niewątpliwie zostaną napisane (bo pisarz ma zbyt wiele temperamentu i zbyt jest młody, by dać się złamać „prawu Nobla”) pozostaną jeżeli nie w literaturze, to napewno w historii, jako cenny dokument tej rzeczywistości, w którą już za lat 50 nikt nie będzie chciał wierzyć, dokument, pisany ręką naoczniego świadka i — uczestnika.

Nie chcę próbować analizować dzieł Sinclaira Lewisa, ani nawet jednej tylko „Ulicy głównej”, tej najpełniejszej chyba epopei kołtunstwa, jaką kiedykolwiek napisano. Na tych kilkuset stronach zawarta jest cała psychika amerykańska, dziwny wynik zetknięcia się i szczególnego powikłania skomplikowanej kultury starej Europy z prymitywizmem „Nowego Świata”. Psychika ta jest jednocześnie psychiką autora. I dlatego przy całej druzgocącej krytyce nie traci on ani na chwilę pobłażliwego uśmiechu.

Sinclair Lewis wierzy w Amerykę i świata poza nią nie widzi (inaczej nie byłby może tak światnym obserwatorem); kołtunstwo triumfuje, ale niema w tem tragedii, bo jego przedstawiciele, to w gruncie rzeczy dzieln i prawi ludzie, choć tak im brakuje kultury. „Nieprzerwanie ciągnie się ten kraj od gór Skalistych, aż do Alaski”, — myśli Lewis myślami Carol Kennicott, owej pokonanej reformatorce małego miasteczka. — „Mocarstwo, które wzrosło w bezprzykładnej potęgę kiedy inne się zestarzały. Zanim się to stanie — wiedziało o tem — sto pokoleń takich jak ona reformatorce rek porwie się z motyką na słońce i upadnie tragicznie, choć bez uroczystych pień żałobnych, w tuzinkowej, a nieuchronnej tragedii walki z bezwładem...”

Zadnej może swej powieści nie pisał Lewis z takim przekonaniem. Kto wie bowiem ile z niego samego kryje się w postaci Carol Kennicott. Jego walka reformatorska z bezwładem kulturalnym nie jest jednak walką beznadziejną. Przenika ją bowiem wiara i miłość.

Przełożył „Ulicę — główną” p. Cz. Jastrzębiec Kozłowski, notowany już w kronice przestępstw przekładowych za tłumaczenie innej powieści Sinclaira Lewisa — „Mautrap”. Rodzaj przestępstwa jest niezwykły, a polega na niewytłumaczonej jakiejś skłonności do fabrykowania dziwacznych nowotworów językowych i do posługiwania się słowami już nieużywanymi. Młodopolsko - mirandolowska maniera, polegająca na wyobrażeniu, że archaizowanie, czy folkloryzowanie stylu czyni go bardziej literackim, każe wprowadzać zwroty, jak: „nito”, „lub „by”, w znaczeniu „jakby”, „jagody” zam. policzki, „ćma” zam. ciemność — co w zestawieniu z egzotycznym środowiskiem amerykańskim razi i psuje gładkość przekładu. Jeżeli dodamy jeszcze niepokojące wyrazy, jak „żminda”, „rostruchańska wyprawa”, „domowity”, „bolibrzech”, „brusy”, „jadwiżka” (poduszczałka do szpilek) i t. p., nie dziwne, że wrażenie niezwykłości się wzmaga. Rozhulanie tłumacza prowadzi go do kolizyj z gramatyką polską: „ciekawo o nim posłuchać”, „w gruncie uważa pani...”, „jest pani daleko za skromna”, „droczyć kogoś”, to już nie nowotwory, ale błędy językowe.

P. Kozłowski jest tłumaczem wytrawnym, mającym za sobą już szereg poważnych pozycji, szczególnie w zakresie poezji. Ma tak poważne zalety, jak sumienność i staranność, zachowanie pietyzmu do dzieła oryginalnego, a wreszcie dobrą znajomość języka oryginału. Tembardziej pożądane byłoby większe opanowanie temperamentu nowatorskiego — w budzącego indywidualizmu, co postawiłoby p. Kozłowskiego w pierwszym szeregu naszych tłumaczy, których nam tak brakuje.

Michał Pawlikowski

Z „Hymnów Strzelistych”

Poniżej drukujemy fragmenty pięknego poematu religijnego Michała Pawlikowskiego p.t. „Wierzę w jednego Boga”, który światło ukazał się na półkach księgarskich w nakładzie Biblioteki Medyckiej, oraz fragment drugiego poematu z cyklu „Hymnów Strzelistych”, jeszcze niewydanego (Red.).

Fragmenty z poematu „Wierzę w jednego Boga”

ZIEMIA nasza jest jak pył w nieskończoności... iskra srebrna w ciemności.

Ziemia nasza jest jak proch w otchłani, a my, czemże jesteśmy na niej?...

Oto myśl moja poszła gdzieś w przedwieczne mrozy, między gwiazdy iskrzące jak światła nieprzeliczonego obozu, rozbitego wśród nocy. A dojrzały między niemi pył ziemi, zakręciła się jak dokola procy zanim ta kamień wyrzuci, i puściła się w lot by wrócić, by jaknajprędzej wrócić...

Jak srebrne nici piorunów miały ją Plejady, aż wpadła w grady meteorów i z kamieniami czarnymi leciała coraz bliżej, coraz bliżej ziemi.

A ona rośnie mi w oczach, rośnie w oczach i jaśnieje. Już odpozna jej rysy: północnych lodów kanty, strzelisty grot Ameryki, sztandar Europy poszarpany, a między niemi Atlantyk... Srebrzą się podemną lądy, ciemnieją oceany... Już widzę łańcuchy gór, widzę już białe miasta... i już podemną Polska, moja własna Polska się rozrasta!

Już się zanurzam w atmosferę... Lży wiatr do oczu pędzi... Zapach wody, ziemi, łąk, sianożęci, chleba... Wokół błękitne rozpylenie, białe obłoki po niemi glob zasnawające, płyną... A nademną niebo zielone, nademną ze świstem pędu, meteory splomienione w ognie latające, zostają w tyle i giną... Błękit, błękit, błękit przelewa się pozamnie, a podemną świat przyodziewa się w kolory i w słońce...

Górska cisza głęboka. Południe, słychać tylko szmer lasu i szum potoka i głęboki zbrzyk dzwonka mierzdzącej po polanie krowy... Ponad grzą, jakże zjeżoną wysoko, — białe obłoki się gonią. Przedemną łąk wielkiej góry... jakże rozpięty szeroko! — Świat się w pogodzie złości... Słychać gdzieś świerszcza, który bierze pierwsze skrzypce natury:

„O Boże wieczystej mocy i nieskończonej dobroci!”...

ZIEMIA nasza jest jak proch w otchłani, a my, czemże jesteśmy na niej?

Czyli jeszcze nie wiecie? Czyli jeszcze nie wiecie, że w każdym z nas zamknięta jest nieskończoność?... że w każdym z nas jest dusza z duszy Boga wzięta? Czyli jeszcze nie znacie treści, która się w ludzkich piersiach może mieścić? Czy nie czujecie oddechu, który w nie dmą przeciągi wieków? — Czyli jeszcze nie wiecie, jak wielkiem, jak świętem jest życie?!

O ludzie małej odwagi, liczący na miary i na wagi, którzyście z trwogi poszaleli, zgubieni i opuszczeni na tym niezmiernym świecie... Czy jeszcze nie wierzycie, czyliście zapomnieli, że Bóg, sam Bóg, wieczny i nieogarniony, przyszedł pomiędzy nas... w Nazarecie?!

Czy nie wiecie jeszcze co to znaczy, że każdy z białych opłatków, święconych co dnia na wszystkich ziemiach tai całego Boga? — Czy jeszcze zbiera was trwoga? Czy jeszcze myślicie inaczej?...

Wierzę w jednego Boga.

Nie przychodziżę do sprawy, z żadną moją marną sprawą człowieczą. Wszystkie mi one z rąk podniesionych ku Niemu przez palce leżą... Płaszcz moich nędz i mojej troski opada mi do kolan. Na strzępy podarta szmata, w głogowej krwi skąpiana z ramion moich obłata... Zagasiła moja myśl w ciemności... i tylko wola została — uparta wola dobrego, — a tej, choćby niewiem co było

i choćby niewiem jak było, nie wydrze mi nigdy nikt, bo ta jest z Niego.

Wychodzą z kościoła ludzie po niesporze. U progu, gdzie stoi kropielnica żegnają się krzyżem świętym... Uderzył organ w górę na ciemnym chórze i grzmiący z nimi wola. Na pusty kościół padła tonów nawałnica i ucichła... W głębi przy ołtarzu zagasiła ostatnia złota świeca... Zamknęli wrota.

Wszystkie tony zatonęły w ciszy, nikt ich nie słyszy, a grają... Jakąż to świat muzyką dyszy? Jakże to głosy wstają z jego wnętrza?

Oto moc Boga żywego we mnie i koło mnie się spiętrza, coraz większa, coraz gorętsza. I rośnie ponad jodły, kędy mnie oto wywiodły oczy w niebo gwiazdami usiane. Koło bezmiaru nademną się toczy — w tę stronę i w tamtą stronę — zanurzone w czasie huragany!

Fragment z drugiego poematu

A POTEM przyszli niektórzy z miasta i pytali o tę Niewiastę, która jest Matką Boga. Czy grzmotem władą wśród burzy? Czy się w Jej dłoniach świat truchlejący pali?

A myśmy nie rzekli nic... W ciszy nieporuszone trwały płomienie świec... Zaszemrał sypki różaniec, — słoneczny promień szedł po ścianie... Zdrowaś Marjo...

Hej ludzie! Wszak była ze wschodu i z Dawidowego rodu. Czy była sławnego rozumu, jak ta hetera świetna: jak Estera?

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli — myśmy już ich języka i tak w duchu nie słyszeli... Łaskiś pełna...

Mówcie! Czy była chwałą ludu okryta, jak Judyta i jak ona nieustraszona i krwi niesyta?

Pan z Tobą...

Hej ludzie! powiedzcie przecie, co wiecie. Jakże mogło inaczej być? Czyż nie była między niewiastami, jak miesiąc między gwiazdami, wspaniała, jak Semiramis?

Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Jakichże mórz sięgnąć musiała niezmierna Jej potęga, większa, niż Kleopatry z Egiptu!

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli, — mybyśmy się i tak już byli nie zrozumieli... Pani nasza jechała z Dzieciątkiem na osiołku, w wielkiej trwodze, a przy nodze z tobołkiem szedł cieśla Józef... w drodze do tego Egiptu...

Pani nasza była ze wschodu, ale jest miasto w Italji, które anieli światłami zasypali. Tam się Jej dusza pokorna, kwiatami wonna rodziła — i tam ją nazwali Umile Donna.

Pani nasza była ze wschodu, ale Królową była słowiańskiego narodu, a Jej chwała na niebie i moc niczego dla siebie nie brała i nie bierze. Na cóż Jej ziemskie splendory, Jej, która całe życie była biedna? — Ale zwyciężała w Kircholmu i Wiedniu! — ale szumiała w duszach rycerzy i była z nami w Cecory! Jak matka sprzągała lute swoje dzieci miłością i dumą rodziny przez zawieruchy stuleci.

Ależ to było potem, a wtedy jeszcze wszystko było inaczej!

A cóż u Boga czas znaczy? — To dla nas przyszłość jest w nocy, byśmy ją mogli budować po naszej wolnej woli. Czy nie wiecie, że święci i prorocy mówili głosem pamięci? pamięci tego, co będzie? —

Nie, Matka nasza nie była Esterą, ani Judytą, i Kleopatrą nie była, i nie była Semiramidą... Wszystkie czasy u Boga i wstecz i naprzód idą, tworzące to, co jest wieczne. W Niej, wiemy, że w Niej, już wtedy było zamknięte całe słowiaństwo słoneczne i wszystkie nasze tęsknoty i wszystkie nasze biedy, i cała nasza w nią wiara — i nieśmy Jej więcej nie przynieśli, kiedyśmy w Niej naszą Matkę odnaleźli.